

Heart ON FIRE

Miłość w Alpach
Hans

Iwona Jaworska

Dla tych,
którzy potrafią czytać między wierszami



Irena Janowska

Copyright © 2024

Iwona Jaworska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, elektroniczne przetwarzanie oraz przesyłanie zawartości w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wszelkie rozpowszechnianie fragmentów książki w całości lub w części bez zgody autora powoduje naruszenie praw autorskich.

Redakcja:

Barbara Wrona

tekstnanowo.pl

Korekta:

Urszula Mirek

Skład i łamanie tekstu:

K&K DESIGNER

Projekt okładki:

K&K DESIGNER

Zdjęcie na okładce:

Deposhitphotos.pl

Wydawnictwo Moje

www.mojewydawnictwo.pl

wspolpraca@mojewydawnictwo.pl

Numer ISBN: 978-83-68147-01-8

Od Autorki:

Drodzy Czytelnicy,
z racji tego, że ekipa ratunkowa „AlpaCapulco” jest dość liczna, pragnę przedstawić Wam jej członków:

Hans Fischer, pseudonim „TopGun” – Pierwszy pilot śmigłowca ratunkowego

Elias Meier – Drugi pilot śmigłowca ratunkowego

Gerald Lanz, pseudonim „Dr House” – Lekarz pogotowia górskiego

Armin Straub, pseudonim „Frodo” – Ratownik pokładowy, operator dźwigu

Johan Tobler, pseudonim „Candy” – Ratownik górski

Simon Gasser, pseudonim „Pastor” – Ratownik górski

Michael Amman, pseudonim „Hooligan” - Ratownik górski

Lucas Klein – Dyspozytor

Roni Zimmermann – Mechanik

Schwarzzimmer, gdzie toczy się akcja powieści, nie istnieje. Wioska została wymyślona na potrzeby tej historii, by ukształtować ją oraz jej mieszkańców dokładnie tak, jak chciałam.

Życzę Wam przyjemnej lektury!

PROLOG

Corinne

Czasem dzieje się tak, że przeszłość niespodziewanie puka do naszych drzwi, gdy najmniej się jej spodziewamy. A czasem wyłamuje je niczym brygada antyterrorystyczna o piątej nad ranem, gdy smacznie śpimy w ciepłym łóżku.

„Gabriel zaginął w górach”. Te trzy proste słowa okazały się moim oddziałem antyterrorystycznym, który brutalnie i bez ostrzeżenia wrzucił mnie w miejsce przyprawiające o ciarki. W jednej chwili siedzę wygodnie w ciepłym pensjonacie, a w następnej trzęsę się ze strachu, będąc zamkniętą w ciasnym pomieszczeniu. Choć go nie rozpoznaję, wiem że nie jest przyjazne. Moje zmysły są maksymalnie wyostrzone i czuję, że nadciąga coś złego...

Mój oddech przyspiesza, a włoski na skórze unoszą się, jakby zostały naelektryzowane. Otacza mnie kłęb pary wodnej wydostający się z mych ust. Jest zimno. Coraz zimniej... Wiem, że się zbliża, czuję go! Jego odór już zaczyna palić mnie w nozdrza! Pragnę uciekać, ale nie potrafię. Moje mięśnie wydają się

zamarznięte. Mogę tylko bezradnie patrzeć, jak otwiera swoją wielką paszczę i mówi coś do mnie, a ja nie potrafię zrozumieć co. Wiem jedynie, że muszę uciekać. On zaraz mnie znajdzie!

Uciekaj w góry!

Zrywam się do biegu, i nagle pochłania mnie potężna wichura. Ledwie udaje mi się zachować równowagę. Jest tak silna, że szarpie moimi ubraniami, jakby chciała mnie zatrzymać w miejscu. Walczę z nią. Wiem, że muszę tam biec. Muszę biec w te góry! Oślaniam ramieniem oczy i brnę dalej, przed siebie, raz za razem łądując w śniegu.

Z każdym krokiem rośnie we mnie panika i zwątpienie. Ja już po prostu wiem, że mi się nie uda... Poczucie straty zaczyna zgniatać moje płuca. Mimo to się nie zatrzymuję. Coś krzyczę, ale ten dźwięk natychmiast pochłania ostry gwizd wiatru. Jest ciemno, mroźno i złowrogo. Rozglądam się w mroku, który otacza mnie z każdej strony. Boję się. Bardzo! Nigdy wcześniej nie doświadczyłam takiego przerażenia. Owszem, często odczuwałam twogę, ale tym razem jest inaczej. Tym razem strach przenika do moich kości szybciej niż szalejący na dworze żywioł. On się mną żywi, pożerając wściekle moje wnętrze!

Po moich policzkach płyną łzy, niemal natychmiast zamieniając się w lodowe strugi. Znów coś krzyczę, desperacko kogoś wołam. Wiatr szarpie moimi włosami, smagając mnie nimi boleśnie po twarzy. Tracę siły, tracę nadzieję, i wtedy... burza gwałtownie cichnie. Zupełnie tak, jakby ktoś nagle rozłożył nad moją głową ogromny parasol. Zamykam oczy i przetykam ślinę. Wiem, że to on...

CIENÍ.

W końcu mnie dopadł.

Obślizgłe macki strachu zaciskają się na mojej krtani i piersi. Zamykam mocniej powieki i biorę drżący oddech. Koncentruję wszystkie swoje siły i... wystrzeliwuję przed siebie jak pocisk. Ale to na nic. On jest silniejszy. Owija wokół mnie pajęczynę utkaną ze strachu, niemocy oraz rozpacz, skutecznie zatrzymując w miejscu. Nie słucha, gdy krzyczę, by mnie puścił. Jest nieubłagany. Wiem już, że to koniec. Koniec wszystkiego.

Wszystkiego co kochałam, i co do tej pory znałam.

JEDEN

Corinne

Berno, dwa miesiące wcześniej...

Naciągam na głowę bluzę kaptura tak mocno, by zakrywał mi również twarz, i siadam na wolnym fotelu w autobusie. Nie lubię wracać po dwudziestej drugiej, ale niestety praca w firmie sprzętającej biurowce rozpoczyna się popołudniami, kiedy ci wszyscy ludzie kończą swoją papierkową robotę.

Wkładam do uszu słuchawki i odpalam swoją ulubioną playlistę, którą otwiera kawałek „Glimpse of Us”. Opieram głowę o zagłówek, i ignorując dźwięki dochodzące z zewnątrz, skupiam się na słowach piosenki. Wiem, że nie o tym jest utwór, ale pierwsze jego wersy zawsze kieruję do swojej nieżyjącej matki. Zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdyby ona nie odebrała sobie swojego. Czy zdejmowałaby każdy ciężar z moich barków? Czy zmieniałaby każdy deszcz w tęczę? Czy byłaby moją najlepszą przyjaciółką?

Codziennie wybieram jakieś wspomnienie z nią związane i nie potrafię zrozumieć, dlaczego jest ich zaledwie garstka. Najlepsze z nich to moment, gdy mam urodziny, a uśmiechnięta mama daje mi w prezencie uszytą przez siebie lalkę. Bierze mnie na kolana i gładzi po włosach, mówiąc, że bardzo mnie kocha. Potem płacze, a ja zupełnie nie rozumiem dlaczego...

Wyciągam telefon i wyłączam utwór ze złością. Po co ja sobie to robię? Zamiast skupić się na czymś relaksującym po ciężkim dniu pracy, dobijam się wspomnieniami kogoś, kto nie żyje już od wielu lat.

Wyjmuję z plecaka zeszyt oraz swój ulubiony błękitny długopis. Otwieram kajet i zaczynam kreślić dwa koła. Ta metoda rozładowywania napięcia towarzyszy mi od zawsze. Za każdym razem, gdy dzieje się coś złego, muszę natychmiast odreagować, kreśląc na kartce te same, dwa niebieskie kształty. Przeskakuję z jednego do drugiego, sprawiając, że okręgi stają się coraz wyraźniejsze i przypominają dwa szafiry. Przestaję dopiero w momencie, gdy prawie przedzieram kartkę na wylot. Wpatruję się w swój rysunek tak długo, aż moje myśli zaczynają odpływać z nieprzyjemnych rejonów.

Gdy odkładam długopis, autobus nagle ostro hamuje. Uderzam głową w oparcie fotela przede mną, a długopis wylatuje mi z ręki.

O nie, tylko nie to! Nie zwracając uwagi na ból czoła, staczam się z siedzenia, próbując zlokalizować swoją zgubę. Przeczesuję wzrokiem całą podłogę autobusu, ale nigdzie go nie widzę! Zdejmuję spanikowana kaptur z głowy, ponieważ zawęza mi

pole widzenia, i dopiero w tym momencie spostrzegam, że ktoś trzyma na nim but. Gdy podnoszę wzrok, natrafiam na cwaniackie spojrzenie jakiegoś młodego mężczyzny. Wydaje się być w moim wieku, czyli nie ma więcej niż dwadzieścia lat.

– Tego szukasz, dziecinko? – pyta mnie chropowatym głosem. – Jakaś ty śliczniutka.

– Oddaj mi to. – Przybieram rebeliancki wyraz twarzy, by nie okazać słabości.

– Chodź, siądź mi na kolanach, to pogadamy – zaczyna rechotać i rozsiada się na siedzeniu niczym król.

– Mam lepszy pomysł. Kopnę cię między te kolana – odpyskuję zuchwale. – Oddaj mi moją własność – powtarzam.

– Twoją? – Unosi brwi. – Chłopak, czy wy widzieliście, bym zabierał tej pyskatej ślicznotce długopis? – pyta, na co jego kompani zgodnie przyznają, że nie. – Widzisz. Ja go znalazłem. I teraz jest mój. Jeśli chcesz go odzyskać, chodź i weź go sobie.

Czuję, jak strach zaczyna wiercić mi dziurę w żołądku, ale unoszę wysoko podbródek. „Tylko frajerzy okazują słabość, a świat rzuca ich na kolana, gdzie spędzają resztę swych marnych dni”. To jedno zdanie, które ciągle powtarzał mi ojciec, wzięłam sobie głęboko do serca, ponieważ uważam, że miał rację. Jeśli choć raz uciekniesz, będziesz uciekać resztę życia. Jeżeli pokażesz komuś swoje słabe punkty, on wykorzysta je w najmniej oczekiwanym momencie. Wiem, ponieważ kiedyś pozwoliłam sobie na luksus zaufania komuś, i nie skończyło się to dla mnie zbyt fajnie.

Pewnym krokiem pokonuję odległość między nami i wyciągam rękę po moją własność. Wtedy mężczyzna chwyta mnie za

nią i siłą pociąga w swoim kierunku. Odwraca tyłem i usadza na kolanach ku ucieście swoich podchmielonych kumpli.

– Puszczaj, fajfusie! – Zaczynam się szarpać. Garstka podróżnych, która siedzi w pojeździe, w ogóle nie zwraca na to uwagi. To jeszcze mocniej uświadamia mi jaka znieczulica toczy współczesne społeczeństwo. I niby jak miałabym uwierzyć, że ktokolwiek chce słuchać o moich problemach tylko po to, bo chce mi pomóc? Gówno prawda. Jedyłą motywacją jest chęć poznania moich skaz, by zdobyć nade mną kontrolę.

– Nie szarp się, ślicznotko, bo staje mi jeszcze bardziej – zaczyna szeptać mi do ucha. Opanowuję dreszcz obrzydzenia, który przechodzi mnie po tych słowach, i zerkam na dłoń, w której mężczyzna trzyma mój długopis. – Lubię, jak laseczki ze mną walczą.

– Tak? To pewnie spodoba ci się to! – warczę z wściekłością, po czym chwytam swój długopis i wyrывam mu z ręki. Potem unoszę się delikatnie i z całej siły nadeptuję mu na stopę. Gdy zwalnia uścisk i automatycznie opuszcza swoją głowę, ja swoją odrzucam do tyłu, trafiając go w prosto w nos.

– Kurwaaa! – rozchodzi się za moimi plecami. Uciekam czym prędzej na przód autobusu, lecz w połowie drogi chwytam mnie czyjaś dłoń.

– Ładnie to tak masakrować nos komuś, kto chce się tylko zabawić?! – wypluwa z siebie jego wkurzony kolega. – Chyba będziemy musieli porozmawiać na zewnątrz!

– Porozmawiaj sobie z moją nogą! – odwarkuję, po czym z całej siły wymierzam mu kopniaka w krocze.

Facet wydaje z siebie przeraźliwy pisk bólu, po czym pada na kolana, trzymając się za zmasakrowane jądra.

– Oż, ty szmato! – woła za mną kolejny i popycha mnie z całej siły do przodu. Padam jak długa na brudną podłogę, a on układa się na mnie całym ciężarem, sprawiając, że ciężko mi złać oddech.

– Ratu...! – Staram się wezwać ludzi na pomoc, ale napastnik natychmiast zakrywa mi usta dłońmi. Patrzę z nadzieją na współpasażerów, ale każdy z nich ma odwróconą głowę do szyby. Mają mnie gdzieś!

Nie mając innego pomysłu, odsłaniam zęby i gryzę go mocno w rękę.

– Ty mała kurwoo! – syczy przez zęby mężczyzna i nieco zwalnia uścisk. Nic mi to jednak nie daje, ponieważ jest zbyt ciężki, bym mogła dać radę zrzucić go z siebie. Nie mija sekunda, a ten, który zabrał mi długopis, kuca przy mnie z zakrwawionym nosem.

– No to teraz się wkopałaś, dziewczynko... – odgraża się przepelnionym pogardą głosem. – Chciałem jedynie buziaka od ślicznej laluni, a teraz... – Nie kończy, lecz jego ton zapowiada same złe rzeczy. – Michael, trzymaj ją mocno. Wysiadamy na następnym przystanku. Tam są opuszczone magazyny. Nauczymy ją szacunku do mężczyzn.

– Ja będę pierwszy, ta mała kurwa kopnęła mnie w jaja. Będzie się musiała nimi zająć w bardzo intensywny sposób, żeby wróciły do sprawności. – Nagle przed moim nosem pojawiają się adidasy drugiego z napastników.

Przychodzi mi na myśl, by wbić mój długopis w miejsce, w którym znajdują się sznurówki, ponieważ tam materiał wydaje się najdelikatniejszy, lecz nie zdążam. Facet, który na mnie leży, wstaje i pociąga mnie mocno do góry. Bierze mnie za ręce i unieruchamia mi je za plecami. Mój plan bierze w łeb, ponieważ prowizoryczna broń wypada mi z ręki.

– Popatrz tylko na jej buźkę. Wygląda jak pieprzona Megan Fox z „Transformerów”! – mówi ten ze złamanym nosem, i chwytając mnie za gumkę do włosów. Jednym ruchem ściąga mi ją z głowy i pozwala moim włosom rozsypać się wokół twarzy. – O ja pierdole, ale jesteś zajebista! – Oczy zapalają mu się jak światełka na bożonarodzeniowej choince.

To dlatego chodzę w kapturze. Nie chcę, by ktokolwiek patrzył na moją twarz; ona za bardzo zwraca uwagę. A porównania do tej aktorki słyszę na każdym kroku! Pech chciał, że zagrała w filmie, który cieszy się ogromną popularnością wśród męskiej części populacji, co tylko dodatkowo ich nakręca! I może gdyby moje życie wyglądało inaczej, umiałabym tę urodę wykorzystać; robiłabym maślane oczy, by wbić się w kolejkę po kawę w Starbucksie, czy chodziłabym na rozmowy kwalifikacyjne wysokopłatnych stanowisk w przykrótkiej spódniczce. Nie od dziś wiadomo, że ludzie lubią się otaczać atrakcyjnymi osobami. Sęk w tym, że ja nie chcę otaczać się ludźmi, dla których jest ona ważna, więc to, co moja mama zostawiła mi w spadku, uważam za swoje największe przekleństwo.

– Za to ty z tym złamanym nosem już nie prezentujesz się tak dobrze – odpyskuję, patrząc mu z pogardą w twarz. Nie

zamierzam okazać strachu. Prowokowanie napastników to w sytuacji podbramkowej jedyna opcja, że popełnią jakiś błąd, który ja mogę szybko wykorzystać. Mam w tym już całkiem spore doświadczenie.

– Tak mówisz? – uśmiecha się szeroko. – Sprawdzimy to także na tobie, cierpliwości. Gdy z tobą skończę, twoja śliczna twarzyczka będzie przypominać miazgę.

– To tak jak twoja bez pomocy pięści. Bez charakteryzacji mógłbyś zgrać Bergena w „Trollach”! – drwię z niego bezczelnie, co przynosi oczekiwany skutek, ponieważ zbliża się do mnie, łapiąc za poły kurtki.

– Ty mała wyszczekana, wredna suko!

Już mam powtórzyć manewr z walnięciem go z czółka w nos, gdy autobus zatrzymuje się z piskiem, powodując, że wszyscy na moment tracimy równowagę.

– Zostawcie dziewczynę, bo wezwę gliny. – Kierowca autobusu, młody przystojny facet wyrasta nagle naprzeciwko nas jak dąb, trzymając w ręku jakieś przenośne radio.

– W dupie mamy gliny, ta mała dziwka złamała mi nos!

– Wszystko widziałem w lusterku i chętnie zeznam, że działała w obronie własnej!

– Tak? A skąd pewność, że zdążą przyjechać, nim i tobie spuszczę wpierdol, gogusiu?!

– Samuel, kod czterysta dwadzieścia. Przystanek przy starych magazynach, masz ludzi w pobliżu? Odbiór – zaczyna mówić do odbiornika.

– Tu Samuel, przyjąłem. Jednostka jest dwie minuty od celu. Wysłać? – odpowiada mu ktoś po drugiej stronie.

Kierowca spogląda znacząco na trzech wkurzonych facetów, czekając na ich decyzję.

– Na waszym miejscu opuściłbym pojazd, bo tylko te dwie minuty dzielą was od wyroku za napaść na tle seksualnym. I możecie mi wierzyć, nie do was pierwszych wzywam gliny. Akcja puszkania takich cwaniaczków to bardzo sprawna operacja, którą opanowałem z Samuelem do perfekcji.

– Ta mała dziwka złamała mi nos!

– A mi skopała jaja!

– Mnie pogryzła! – przekrzykują się nawzajem mężczyźni, wypluwając z siebie słowa pełne tłumionej agresji.

– Zatem widzicie, jakie z was pizdy. Skoro drobna dziewczyna tak was urządziła, pomyślcie, co zrobią wam współwięźniowie z wyrokami za gwałt...

Tym argumentem trafia w dziesiątkę. Doskonale widzę, jak gniew wyparowuje z nich pod wpływem strasznych wizji przemocy więziennej.

– Peter? Patrol już gotowy do drogi. Mają ruszać? – W radiu ponownie wybrzmiewają słowa funkcjonariusza.

– Mają? – pyta kierowca moich napastników, i unosi powoli odbiornik do ust. Gdy przez kilka sekund nie otrzymuje odpowiedzi, włącza guzik i odzywa się do rozmówcy: – Okej, Samuel chyba trze...

– Dobra! Zmywamy się! – decyduje facet ze złamanym nosem. Dwaj pozostali szybko się z nim zgadzają. Nim mnie jednak

puszczają, rzucają pod moim adresem niewybrednymi epitetami i tym, co mi zrobią, jeśli kiedykolwiek spotkają mnie na mieście.

– Takie groźby też są karalne, kanalie! – Kierowca woła jesczede do ich pleców, a gdy tamci znikają za drzwiami, Peter zamyka je guzikiem, a następnie patrzy po pasażerach z naganą.

– Cholerni tchórze!

– Oni mieli bejsbol! – odzywa się w swojej obronie jedna z kobiet, wyglądająca na około czterdzieści lat.

– Okej, będę o tym pamiętał, gdy podobni hultaje zaatakują twójego syna! – odgryza się jej na poczekaniu. – A ty, August? Nie wstyd ci nie reagować w obronie kobiety?

Starszy mężczyzna tylko wzrusza przepraszająco ramionami.

– Wstyd mi za was, ludzie! Jeśli w ogóle mogę was tak nazywać! – oświadcza z niezadowoloną miną, a potem zwraca się do mnie:

– Chodź. Siądziesz na fotelu przy mnie. Z tą twoją buźką może być więcej takich kłopotów! – Peter usiłuje położyć rękę na moim ramieniu, ale robię unik.

– Dzięki za pomoc, ale dalej poradzę sobie sama. – Zakładam kaptur na głowę i schylam się po swój długopis. Potem nie patrząc na niego, wracam na miejsce, które zajmowałam wcześniej.

Kierowca przygląda mi się jeszcze przez kilka sekund, po czym odchodzi bez słowa i wrzuca pierwszy bieg, a ja wyjmuję zeszyt i znów zaczynam rysować okręgi. Tym razem robię to szybciej, energiczniej i mocniej. Niemal natychmiast przebijam się długopisem na drugą kartkę, ale nie zwracam na to uwagi, tylko sunę błękitem po bieli, aż moje ręce przestają drżeć. W

międzyczasie zauważam, że ten kierowca rzuca mi raz po raz zaciekawione spojrzenia w lusterku.

O nie, tylko nie to. Nie chcę wzbudzać jego ciekawości. Nie chcę, by w ogóle zwracał na mnie uwagę. Okej, pomógł mi, i jestem mu za to wdzięczna, ale z doświadczenia wiem, że w życiu nie ma nic za darmo i za chwilę zaczną się do mnie lepić. Tak jest zawsze – za każdym razem. To dlatego nie chcę obrońców, oni nigdy nie pomagają z potrzeby serca. Liczą, że w ramach podziękowań rozłożę przed nimi nogi!

Pod wpływem chwili wysiadam przystanek wcześniej, by Peter nie wiedział, gdzie mieszkam. Mimo iż będę musiała iść na piechotę ponad pół godziny po niezbyt bezpiecznym terenie, robię to, by uciec. Mieszkam tu od roku i wiem, któredy iść, by nie natrafić na lokalnych rzezimieszków.

Do bloku, w którym wynajmuję pokój, docieram nieco później niż zakładałam, a to dlatego, że jestem potwornie zmęczona. Dziś nie było w pracy Tiny, więc musiałyśmy z Claudią sprzątać całe piętro tylko we dwie. Bardzo rzadko płaczę, ale gdy zjawiam się na czwartym piętrze i słyszę głośne walenie basów i muzyki techno dobiegające z mojego mieszkania, mam ochotę usiąść na schodach i płakać jak dziecko. Uwe znów zorganizował domówkę!

Nie zliczę, ile razy prosiłam współlokatora, by trzymał swoich popierdolonych koleżków z dala od naszego mieszkania. Zawsze ich imprezy odbywają się w oparach koki, przez co potem dobijają się do mojego pokoju jak zwierzęta. Ostatnim razem tylko cudem uniknęłam gwałtu. Naćpany wielkolud staranował drzwi

i rzucił się na mnie, nie zwracając uwagi na moje krzyki. Pomogła dopiero butelka roztrzaskana na jego głowie.

Wymówiłabym umowę najmu, ale prawda jest taka, że mam już dość tej wiecznej tułaczki. Chcę w końcu zebrać pieniądze, które pozwolą mi kupić własne mieszkanie. Nie chcę już nigdy więcej mieszkać z kimkolwiek. Odkąd pamiętam, zawsze musiałam dzielić przestrzeń z ludźmi, których nie lubiłam. Lub takimi, którzy nie lubili mnie...

Po samobójstwie mamy mieszkałam z ojcem dwa lata, nim zapił się na śmierć. Potem wylądowałam u ciotki, siostry mojego taty, która traktowała mnie jak zło konieczne i kazała zarabiać na każdą kromkę chleba, którą mi dawała. Przez sześć lat, aż do ukończenia pełnoletności, musiałam pracować w jej sklepie z warzywami, by nie wyrzuciła mnie na bruk. Po moich osiemnastych urodzinach stwierdziłam, że skoro i tak muszę zarabiać na własne utrzymanie, równie dobrze mogę mieszkać w miejscu, gdzie nie będę czuła się jak wyrzutek i kompletny śmieć.

To nie jest tak, że Renate od początku mnie nienawidziła. Gdy przygarnęła mnie jako jedyna krewna po śmierci taty, miałam dziewięć lat. Obdarzyła ciepłem i troską jakiej w tamtym momencie potrzebowałam. Cieszyłam się, że do nich trafiłam, i wydaje mi się, że oni, jako bezdzietne małżeństwo, także odnajdywali radość w tym, że mogli się mną zająć. Jednak sielanka trwała do momentu mojego dojrzewania. To wtedy pojawiły się coraz bardziej ciekawskie i śmiałe spojrzenia jej męża oraz niestosowne żarty. Wtedy także pojawiła się wrogość kobiety wobec mnie. Przestałam być jej podopieczną, a stałam się rywalką.

Dziś, po dwóch latach od wyprowadzki, jestem jej wdzięczna za to, że nauczyła mnie ciężkiej pracy. Dzięki temu potrafię sobie poradzić. I z każdej sytuacji znaleźć wyjście. Na przykład teraz; zamiast mazać się bez sensu na środku klatki schodowej, zarzucam na ramię plecak i podążam na samą górę, gdzie przy wejściu na dach mam swoją kryjówkę. To mój schron, który wykorzystuję w takich właśnie sytuacjach. Odnajduję torbę, w której trzymam śpiwór i poduszkę, a potem układam się na twardej podłodze i zamykam oczy. Jutro znowu będzie mnie bolał kręgosłup i głowa. To niedorzeczne, bym płaciła za pokój, w którym nie mogę spać minimum dwa razy w każdym tygodniu.

Muszę koniecznie znaleźć drugą pracę, by nie musieć już więcej tutaj wegetować.

Hans

Schwarzimmer

Johan jednym susem wskakuje na stolik, przybierając pozycję kury, choć tak naprawdę udaje przed nami T-rexa. Jest pochylony, ręce ma zgięte w łokciach i maksymalnie przybliżone do tułowia,

a palec wskazujący i faker wykrzywione w szpony, którymi charakteryzuje się ten dinozaur.

– Wypnij kuper! – wydziera się Elias, drugi pilot śmigłowca, który dziś ma ze mną dyżur.

Wszyscy jak na komendę wybuchamy śmiechem, a Candy kontynuuje swoje przedstawianie. Ksywkę „Candy” nadaliśmy mu po tym, gdy na obóz przetrwania, który organizujemy w górach każdego roku, przyprowadził pewną, dopiero co poznaną laskę...

„Cukiereczek”, „Pierniczek”, „Ciasteczko”, „Ptyś” i „Muffinek” to tylko niektóre z określeń, jakimi go raczyła. Wisiała na jego ramieniu dwadzieścia cztery godziny na dobę i była typową przedstawicielką dziewcząt, które określamy jako „FANTA”, co w wolnym tłumaczeniu znaczy: „fuck, and never touch again”. Johan odstawił ją do domu zaraz po powrocie z gór i przez jakiś czas miał wstręt do wszystkich słodkości. My, jako prawdziwi przyjaciele, którzy w razie potrzeby oddaliby za niego życie, w geście solidarności z jego traumą, oczywiście nadaliśmy mu pseudonim operacyjny „Candy”.

Chciałbym powiedzieć, że jako zespół ratunkowy górskiego pogotowia, cały wolny czas spędzamy na poznawaniu najnowszych doniesień z technik linowych, oglądaniu materiałów edukacyjnych o ewakuacji w trudnym terenie, bądź studiowaniu akcji ratunkowych wykonywanych przez inne ekipy; jednak prawda jest taka, że najczęściej po prostu się wydurniamy, tak jak dzisiaj.

Rechotam na cały głos, gdy Johan odchyła głowę do tyłu i wydaje z siebie dźwięk przypominający zmutowaną trąbkę a’la

Jurassic Park, a potem rozgląda się groźnym wzrokiem, jakby poszukiwał ofiary.

– O! O! Tak właśnie wygląda moja żona przed okresem! – zanoszą się śmiechem Armin, nasz ratownik pokładowy. – Tylko groźniej!

Armin z kolei ma ksywkę „Frodo”. Po tym, jak cztery dni przed ślubem zgubił w górach swoją obrączkę, nie było opcji, żeby nie uczcić tego wydarzenia tak idealnie pasującym do niego pseudonimem.

– Hej, T-rexie. Zobacz jaką mam dla ciebie okazałą szynecz-
kę! – Simon, czyli „Pastor”, wysoki blondyn, który dwa lata temu zyskał sławę w internecie dzięki erotycznemu filmowi, wrzuconemu tam przez jego wkurzoną ekspartnerkę, klepie w tyłek naszego sztywnego doktoraka, czyli „Dr. House’a”, wywołując w nim rozdrażnienie. – Gerald chętnie poświęci się za nas wszystkich!

Johan zeskakuje ze stolika i zaczyna człapać ciężko w kierunku mężczyzny piszącego coś w swoim notesie. Czasem mam wrażenie, że tylko nasz ratownik medyczny jest choć trochę normalny. Candy podchodzi do niego i zaczyna go obwąchiwać.

– Czym śmierdzi? Morfiną czy może raczej kujonstwem? – Simon nie przestaje się z niego nabijać.

– Zamknij się, głąbie. Gdybym się nie uczył, stabilizowałbyś pacjentom kończyny na żywca.

Johan kicha kilkakrotnie, jakby faktycznie nie spodobał mu się zapach swej ofiary, a potem wlepią wzrok w zawiniętą w folię bułkę Geralda. Niewiele myśląc, nachyla się i chwyta ją w swoje

zęby, a następnie udaje, że ją rozszarpuje. Z pieczywa wylatują ogórki, sałata i szynka.

– Kurwa, Candy, serio? – Gerald odkłada z wściekłością ołówek na notatnik, a potem podnosi się i podchodzi do naszego T-rexa. Ten także się do niego zbliża. Idą na czołówkę.

– Bijcie się, będzie mięso! – dopinguję ich, odchylając się z zaciekawieniem na krześle.

– Jak nie przestaniesz błaznować, to ci przywalę – grozi mu House z zaciętą miną.

Oczywiście na naszym ratowniczym klaunie to nie robi żadnego wrażenia. Candy, zamiast odpuścić, znów udaje dźwięk tyranozaura, wypuszczając go dosłownie milimetry od twarzy doktora. Jawnie go prowokuje.

Gerald zamachuje się, by dać mu w pysk, jednak Johan robi unik i ucieka, nie przerywając przy tym swojego przedstawienia. Rozjuszony House rusza za nim w pogoń, po drodze przewracając krzesło i kilka innych drobiazgów z szafki.

Chłopaki niemal tarzają się ze śmiechu, i wtedy słyszymy głos Lucasa, naszego dyspozytora:

– Chłopcy, mamy akcję. – Wszyscy jak na komendę poważniejemy. – Wschodnia ściana Grant Riese. Turysta, bez wyposażenia, wszedł w trudny teren i nie może ani zejść, ani wejść wyżej. Trzeba go stamtąd jak najszybciej ewakuować. Warunki są trudne.

W pełnym skupieniu wysłuchujemy całego komunikatu i gdy głos Lucasa milknie, każdy z nas bierze się do roboty. Jako brygada AlpaCapulco pracująca ze sobą od dziesięciu lat jesteśmy na tyle zgrani, że nie potrzebujemy wiele ustalać. Sytuacja jest

dla nas prosta. Każdy wie, co ma robić i jaki sprzęt wrzucić na pokład śmigłowca. Działamy szybko, sprawnie i efektywnie. Po kilku minutach jesteśmy gotowi do wylotu.

Roni, nasz mechanik, daje znak, że maszyna jest sprawna i czeka na nas na lądowisku. Siadam za sterami i już po chwili podrywam statek powietrzny do lotu.

– Myślisz, że uda się zrobić akcję z powietrza? – pyta mnie Elias.

– Mam taką nadzieję, bo Candy nieźle się nagimnastykował z tym udawaniem dinozaura. Nie byłby zachwycony gdyby musiał się jeszcze wspinać przy tym mocnym wietrze... – parskam, zerkając na niego przelotnie.

– Powiedział ten, co wiecznie siedzi na dupie i bawi się tylko dźwignią i dżojstikami – odpowiada mi sarkastycznie tamten.

– Jeśli myślisz, że masz lepszą kondycję niż ja, spotkajmy się jutro o piątej przy jeziorze.

Johan doskonale wie, że codziennie rano biegam, a potem robię godzinny trening na siłowni w naszej jednostce, dlatego pozostawia moją propozycję bez komentarza. Zdaje sobie sprawę, że szybko by się skompromitował.

Każdy z nas musi utrzymywać idealną sprawność fizyczną, lecz prawda jest taka, że jedni z nas robią to z większym entuzjazmem, a inni z nieco mniejszym... jak na przykład nasz dwudziestoosmioletni ratownik górski. Candy jest niesamowicie zwinny i doskonale sprawdza się w akcjach jaskiniowych, jednak tężyzną fizyczną i wytrzymałością nie dorasta mi do pięt.

– Spierdalaj – odpowiada mi więc zwięźle i dalszą część trasy pokonujemy w milczeniu.

Na miejsce dolatujemy po kilku minutach.

– Ja pieprzę, widzisz to? – rzucam do Eliasa, oceniając na szybko sytuację.

Akcje w górach są o tyle skomplikowane, że nigdy nie wiemy, co zastaniemy na miejscu. Tu nie wygląda to najlepiej...

– Ni chuja nie utrzymasz zawisu w tym miejscu.

– Akcja nad nim też odpada – stwierdzam od razu. – Zobacz, w jakim kominku on stoi. Przecież zdmuchnę typa, jak tylko się zbliżę!

– Jak on tam wlaźł...? – Mężczyzna po mojej prawej nie może wyjść ze zdziwienia.

Przez kilka sekund krążę nad poszkodowanym, dając całemu zespołowi niezbędny czas na podjęcie decyzji. Bacząc na wysokie ryzyko upadku z dużej wysokości, nie mamy go wiele.

– Dobra, spróbujemy desantować chłopaków z odległości stu metrów – decyduję w końcu.

Elias spogląda na mnie niepewnie, ale się nie odzywa. Ufa mi.

– Frodo? Zgadzasz się ze mną? – pytam pokładowego, ponieważ to on jest kierownikiem naszej ekipy, i ostatecznie do niego należy decyzja o rodzaju przeprowadzanej akcji.

Mężczyzna rozgląda się przez kilkanaście sekund, oceniając sytuację, i w końcu odpowiada:

– Tak, spróbujmy. Sytuacja nie wygląda dobrze. Facet w każdej chwili może runąć kilkaset metrów w dół. Nie ma czasu do stracenia.

To prawda. To i tak cud, że przy tej pogodzie jeszcze go stamtąd nie zwiało.

– Simon i Gerald, gotowi? – Ponieważ nie wiadomo, czy facet na dole nie wymaga interwencji medycznej, zapada decyzja, że desantują się obydwaj. Na pokładzie robi się ruch. Armin wykonuje swoją część zadania, a ja skupiam się na swojej.

Technika długiej liny nie jest prosta, ale przy idealnie zgranym zespole, takim jak nasz, może być przeprowadzona szybko i skutecznie. Gorzej, jeśli mamy taką pogodę jak dziś... Utrzymanie zawisu przy sprzyjających warunkach to pikuś, ale gdy gwałtowne podmuchy wiatru pojawiają się bez ostrzeżenia i niemal z każdej strony, poziom adrenaliny w mojej krwi szybuje w górę niczym rakieta. Dziś maszyna dosłownie pływa w powietrzu, co sprawia, że muszę ją ciągle korygować.

Armin cały czas mnie naprowadza, bym ustawił się idealnie nad poszkodowanym, i gdy w końcu mi się udaje, zezwala chłopakom na desant.

– Dobra, Pastor, wypad! – woła do pierwszego z nich. Ja tymczasem wybieram na horyzoncie punkt odniesienia i staram utrzymać maszynę w maksymalnym bezruchu. Pilotowanie śmigłowca ratunkowego wymaga nie tylko precyzji, ale także umiejętności działania pod presją. Jeśli od twoich umiejętności zależy życie, nie tylko poszkodowanego, ale także kolegów z ekipy, robi się naprawdę poważnie. Jeden niewłaściwy manewr, a na linie tworzy się wahadło, które może roztrzaskać ich o ścianę skalną. W takich sytuacjach zawsze mam mokre od potu plecy.

– Trochę w lewo. – Słyszę od pokładowego i najdelikatniej, jak tylko potrafię, koryguję ustawienie śmigłowca. – Jeszcze trochę – mówi, by ratownik wylądował bezpośrednio przy poszkodowanym. – Dobra, jest na miejscu. Zaczyna zakładać stanowisko.

– Kurwa, czujesz to? – pytam Eliasa, gdy maszyną znów zaczyna miotać. – Te dodatkowe zawirowania powietrza nie są cacy. Frodo, zagaść ruchy! – rzucam nerwowo przez radio do Armina.

– Gotowe, odczepia się – pada po kilku sekundach w słuchawkach. – Teraz Gerald! – informuje mnie i po kilkunastu sekundach daje znak, że i on dotarł bezpiecznie na miejsce.

Dopiero wtedy biorę głęboki oddech. Czekam jeszcze tylko na potwierdzenie, że mogę się zwijać, i gdy je otrzymuję, wycofuje helikopter na lądowisko.

Część ekipy, która nie brała udziału w akcji, udaje się do schroniska, przy którym posadziłem moją „Bestię”, a my czekamy na sygnał, kiedy możemy wracać do akcji. Wiadomość przychodzi po piętnastu minutach, jednak warunki atmosferyczne znacznie się pogorszyły, o czym przekonujemy się już na miejscu.

– Średnia prędkość wiatru: sześćdziesiąt kilometrów na godzinę – odzywa się Elias.

– A te porywy ze dwa razy więcej – rzucam zdenerwowany.

– Może lepiej nie ryzykować...

To jest właśnie jeden z elementów naszego zawodu, który uwalnia duży poziom stresu: oszacowanie ryzyka i podjęcie decyzji, która może przesądzić o życiu ludzkim. Nie tylko poszkodowanego, ale i naszym, ponieważ rozbity helikopter nigdzie już nie poleci, a martwy ratownik nikogo nie uratuje.

Specyfika latania w górach jest wyjątkowa. To są bardzo trudne loty, w zasadzie chyba najtrudniejsze, w jakich może pracować pilot śmigłowca. Mało, że pogoda może ulec gwałtownej zmianie w przeciągu zaledwie kilku minut, to jeszcze musimy sobie radzić z wieloma przeszkodami terenowymi. Szczególnie w akcjach prowadzonych „przy ścianie”, gdzie nierzadko łopaty wirnika poruszają się dosłownie kilka metrów od skał. Sekunda nieuwagi pilota może skończyć się tragedią.

– Próbujemy – orzekam mocnym głosem. – Robi się ciemno. Zanim zejda, może minąć dwie lub trzy godziny. Przy tych warunkach nawet i więcej. Facet zejdzie im po drodze na hipotermię, spójrz tylko, w co się ubrał – zauważam z pogardą. – Łeb już mu odmroziło, jak zdecydował się tu wleźć, ale wacka trochę szkoda...

– Czy ja wiem... Taki idiota nie powinien się rozmnażać.

– Też racja – przyznaję i zaczynamy się śmiać.

Żaden z nas nie lubi wyruszać do akcji, które są powodowane bezmyślnością i brawurą ludzką, jednak nasza praca nie polega na osądzaniu, a ratowaniu tyłków nawet największym przyglupom na świecie.

– Schodzę na odpowiednią wysokość – mówię do pokładowego.

Zawsze śmiejemy się lub psioczymy na głupich turystów, jednak nigdy żadnemu nie odmówiliśmy pomocy. Poza tym nie tylko ten gamoń musiałby schodzić pieszo w dół, także Simon i Gerald. Akcja wciągania ich na pokład statku powietrznego trwa dłużej niż zazwyczaj, ponieważ Simon, który jest przy

poszkodowanym, ma problem z podjęciem haka. Gwałtowne podmuchy powietrza miotają nim na wszystkie strony, powodując salwę soczystych przekleństw z ust Armina.

Nie zazdroszczę mu roboty. Pokładowy musi mieć oczy dokoła głowy, a czasem nawet w dupie. To on pomaga stabilizować śmigłowiec, on dokonuje korekt, on operuje dźwigiem, on ocenia teren, szuka najbezpieczniejszego miejsca do desantu i jest całym koordynatorem akcji, ogarniając pilotów, ratowników i maszynę jednocześnie. My jako piloci, wbrew pozorom mamy dosyć ograniczoną widoczność, dlatego każda dodatkowa para oczu jest na wagę złota.

Po jakiejś minucie ratownikowi dołowemu w końcu udaje się wczepić do liny i już chwilę potem, wraz z poszkodowanym są wciągani na pokład śmigłowca.

– Okej, są! – daje mi znak Frodo. – Gerald przeszedł w łatwiejszy teren. Jest jakieś trzydzieści metrów dalej.

– Widzę – przyjmuję i podlatuję do niego wolno i ostrożnie. Ratownik chwytą się haka, mocuje do niego swoją uprząż i natychmiast zostaje wciągnięty na górę.

Gdy cały skład siedzi już w śmigłowcu, wszyscy oddychamy z ulgą. Każda akcja ratownicza w górach jest niebezpieczna, nawet ta na pozór prosta. Na szczęście nigdy nie byłem świadkiem śmierci ratownika, ale na szkoleniu oglądałem filmik, który głęboko zapadł mi w pamięć. Na nagraniu widać było tragedię spowodowaną awarią techniczną powietrznego statku ratowniczego. Ze zgrozą obserwowałem jak łopaty wirnika nagle zwolniły, śmigłowiec zaczął się obracać i odpadł od niego fragment ogona, a

potem kolejne części. Dosłownie rozlatywał się w powietrzu. W akompaniamencie okrzyków przerażenia osób, które to zdarzenie nagrywały, dymiąca i rotująca maszyna w końcu spadła z hukiem na ziemię.

Do tego rodzaju roboty trzeba mieć nerwy ze stali i jaja z tytanu; potrafić zapanować nad emocjami i z chłodną kalkulacją podejmować trudne decyzje.

Transportujemy poszkodowanego do najbliższego szpitala, i niedługo potem sadzam maszynę na lądowisku przed hangarem.

Jak zawsze po udanej akcji przybijamy sobie z chłopakami piątki i umawiamy się wieczorem w barze u Gerdy. Tam najłatwiej rozładować nam stres. Uwielbiamy to miejsce, jak i samą właścicielkę. Dla mnie jest jak rodzona matka, a dla chłopaków ukochana ciotka. Żał patrzeć, jak coraz trudniej jej prowadzić „Der Strahl”. Od miesiący jej powtarzam, że powinna zatrudnić kogoś do pomocy, jednak ona jest na to zbyt uparta. Mam nadzieję, że w końcu pójdzie po rozum do głowy. A w tym czasie nie pozostaje mi nic innego, jak pomagać jej przy każdej możliwej okazji.

Dziś w barze panuje wyjątkowy tłok. Prawie doszło do tego, że jacyś niezorientowani turyści zajęli nasz ulubiony stolik. Na szczęście jedna z kelnerek go dla nas przytrzymała.

– Hej, Hans, Martina o ciebie pytała! – wydziera się na cały głos Frodo. – Mówiła coś o dojeniu krów na pastwisku!

To nasz sekretny kod; oznacza on, że ma ochotę na zabawę, gdzie serwuje mi na swoich ogromnych piersiach różne smakołyki, bym je z nich zlizywał.

– Tylko kto tu kogo ma wydoić, hę? – Cała ekipa zaczyna się naigrywać. Gerald załapuje, o czym mówimy, i krzywi się z odrazą, natomiast Simon zaczyna pokazywać obsceniczne gesty.

– Zamknąć ryje. Nie będę wam zdradzał szczegółów swoich sekretnych spotkań! – odpowiadam im i biorę potężny łyk piwa.

– Ale TopGun, wiesz, że sekret to takie coś, o czym nikt nie wie? – Do dyskusji dołącza Simon i zaczyna rzeć jak koń. – Tu bardziej pasowałaby „Tajemnica Poliszynela”!

– Tak, bo nikt, ale to absolutnie nikt nie rozumie waszych świńskich gadek i o tym, że „przelecieć” w jej rozpustnych ustach nie oznacza lotu ratunkowego! – dodaje z przekąsem Johan.

– Zazdrościsz? – odpyskuję.

– Pewnie, że zazdroszczę. Kobieta z takimi... warunkami zagięła parol akurat na ciebie!

– Candy, to pewnie dlatego, że ty spuszczasz za szybko! – dogaduje mu Armin, mając oczywiście na myśli jego szybki desant na linie ze śmigłowca.

– Taaa, za to ciebie nie chce, bo całe dni spędzasz na kolanach! – odgryza się Frodo, odnosząc się do tego, że na pokładzie statku powietrznego ratownicy poruszają się właśnie w tej pozycji.

– Na kolanach można wiele zdziałać, panowie, zapewniam was o tym.

– À propos pozycji na kolanach... – Armin dopija swoje piwo i odkłada kufel na stolik – ...muszę już wracać do domu. Anita mnie zabije, że znów przyłożę tak późno.

– Frodo, pomyliłeś miejsca. Ty nie jesteś na kolanach, tylko leżysz płasko. Pod pantoflem!

– Wiecie jak jest – zaczyna się śmiać. – Tylko pantoflarz pyta żonę, czy może wyjść z kumplami na piwo. Prawdziwy mężczyzna wie, że nie może! – wyjaśnia, wzbudzając w nas kolejne salwy śmiechu.

Lubię gości, ponieważ ma dystans do siebie i tego, jak kocha swoją żonę. Gdy chłopcy zaczynają mu dogryzać, zamiast z nimi walczyć, dołącza do nich i nabija się z siebie jeszcze bardziej niż oni!

– Ech, moi drodzy, musicie się jeszcze wiele nauczyć – mówi na odchodnym. – Otóż małżeństwo jest zgodne, gdy mąż panuje nad sobą, a żona nad mężem.

– Jeśli w sypialni, to ja się na to piszę! – wydziera się Elias. – Marzy mi się taka wyrachowana domina!

– Dość – ogłaszam, również wstając. – Wchodzimy na niebezpieczny grunt. Fantazje erotyczne mojego kumpla to ostatnie, o czym chciałbym myśleć dzisiaj wieczora.

– Ty dziś nie będziesz zbyt dużo myślał – odpowiada mi. – Będziesz używał głowy, ale innej, i w innym celu!

– Nie wymądrzaj się. I tak już nikt cię tutaj nie lubi! – rzucam tematem, na który drugi pilot jest uczulony i oddalam się szybko,

słuchając jego okrzyków wzburzenia i dogadywania pozostałych, którzy widząc jego bulwers, jeszcze mocniej się nad nim pastwią.

DWA

Corinne

– Rozluźnij się, daj mi uśmiech! – słyszę pokrzykiwania faceta, który od piętnastu minut oślepia mnie błyskiem flesza. – Szerzej! Głowa w bok, trochę bardziej... o tak, trzymaj to! – I znów kilkanaście, szybko następujących po sobie dźwięków migawki aparatu.

Czuję się coraz gorzej. Nie potrafię się rozluźnić. Bolał mnie plecy i policzki od głupiego szczerzenia się do obiektywu. Prawdę mówiąc, mam tego serdecznie dość, ale nie chcę zawieść Petera, który stoi za fotografem i cały czas unosi do góry obydwie kciuki, starając się dodać mi otuchy. Tylko ze względu na niego nie wyszłam już po minucie tych męczarni.

Nigdy bym się nie spodziewała, że tak polubię kierowcę autobusu, który nieco ponad miesiąc temu uratował mi tyłek, udając, że wzywa gliny. Tak, UDAWAŁ. Następnego dnia wyznał mi, że Samuel, z którym się wtedy komunikował, to żaden gliniarz, a

jego kolega po fachu, z którym właśnie w taki sposób radzą sobie z pijaną i agresywną młodzieżą.

Powiedzenie, że mu ufam, byłoby jeszcze zbyt dużą przesadą, ale przyznam, że całkiem przyzwoity z niego gość. Nie dał się odstraszyć mojej antypatycznej powierzchowności, a to naprawdę godne podziwu. Znoszenie moich wrednych odzywek i bezczelnego zachowania to prawdziwy sprawdzian dla ludzkiej cierpliwości i empatii.

Poza tym, nie mam pojęcia, jak tego dokonał, ale sprawił, że poczułam się przy nim względnie bezpieczna. Polubiłam popołudniowe zmiany, gdy to właśnie on odwoził mnie do domu. Żartował, opowiadał o sobie, pomagał starszkom, a czasem też milczał, gdy widział, że mam za sobą naprawdę ciężki dzień. Kilometr po kilometrze, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, przekonywał mnie do siebie, i udawał, że nie ma wobec mnie złych zamiarów. W dodatku wyznał mi, że jest gejem, co tylko upewniło mnie w przekonaniu, że nie chce, jak większość, zaliczyć jedynie sobowtóra popularnej aktorki, by móc się tym faktem popisać przed kumplami.

– Dobra, mamy to! – oznajmia głośno fotograf, po czym przywołuje do siebie makijażystkę i zwraca się do niej: – Podrasuj nieco ten makijaż do kolejnych ujęć. Ma być kobieco i odważnie, ale bez przesady, okej?

– Jasne. – Kobieta kiwa mu w odpowiedzi głową.

– Tania, przygotuj ją do sesji sensualnej! – Mężczyzna wydaje kolejne polecenie, a niska szatynka natychmiast do mnie podbiega.

– Chodź, musimy cię przebrać!

Zerkam na Petera, który chyba doskonale wyłapuje moje przerażenie, bo prosi szatynkę o chwilę rozmowy ze mną.

– Niech będzie, ale tylko pół minuty, Pet. Wiesz, że czas to pieniądz! – zapowiada mu.

– Oczywiście, to zajmie tylko kilka sekund! – zapewnia ją, po czym pociąga mnie na bok. – Co się dzieje, Corinne?

– Co to znaczy sesja sensualna, bo nie brzmi zbyt fajnie... – Ujmuję się pod boki, demonstrując swoje niezadowolenie. – Jeśli każą mi się rozbierać, to przysięgam, że nie ręcę za siebie!

– Corinne, na litość boską! To nie plan pornola, tylko sesji zdjęciowej! I to w dodatku wysoko cenionego fotografa!

– Dla mnie to jest zwykły koleś, który będzie fotografował moje wdzięki! Mam gdzieś jego pozycję w branży! – Postanawiam nie owijać w bawełnę. Zbyt dobrze znam naturę mężczyzn, by łudzić się, że będzie patrzył na mnie czysto profesjonalnie. – Chyba, że powiesz mi, że jest eunuchem!

Peter robi głęboki wdech, a potem ściska mocno nasadę nosa.

– Przypomnij mi, po co tu jesteśmy... – prosi, nie puszczając nosa i nie otwierając oczu. Nie ma szans zobaczyć, jak przewracam oczami. – Nie słyszę... – ponagla mnie.

– Dla kasy – mamrocę niechętnie, znów krzywiąc się i zaplatając ramiona na piersi.

– A po co ci ta kasa?

– Żeby w końcu kupić własne mieszkanie, gdzieś daleko stąd – recytuję rozmowę, którą odbywaliśmy już kilkukrotnie.

– I...?

– I nie musieć już nigdy więcej mieszkać z kimkolwiek.

Tyle razy mówiłam mu, jak bardzo nienawidzę swojego współlokatora, swojego mieszkania, dzielnicy, i w ogóle tego miasta. Tyle razy oglądał mnie z wielkimi workami pod oczami, ponieważ brak snu, ciężka praca i życie w ciągłym stresie mnie wykańczają. Tyle razy był świadkiem tego, jak całą drogę do domu siedziałam schowana za wielkim kapturem, byle tylko nie zwracać uwagi męskiej części podróżnych, i nie prowokować problematycznych sytuacji. To dlatego Peter zaproponował mi tę pracę. Chciał mi pomóc. Sprawić, by moja uroda choć raz przyniosła mi coś pożytecznego – pieniądze. I to konkretne.

– A co zaryzykowałem, przyprawiając cię tutaj?

Momentalnie robi mi się głupio.

– Swoją własną karierę i pracę... – przyznaję już nieco ciszej.

Peter w końcu otwiera oczy. Mój wyraz twarzy sprawia, że jego rysy także łagodnieją. Chwyta mnie za dłonie i ściska je mocno.

– Czy już raz uratowałem ci tyłek przed napalonymi zboczeńcami? – pyta, świdrując mnie brązowymi tęczęwkami.

– Tak.

– Czy sądzisz, że po tym wszystkim przyprowadziłbym cię gdzieś, gdzie grozi ci podobne niebezpieczeństwo?

Szczerść w jego spojrzeniu nie pozwala mi odpowiedzieć na pytanie inaczej.

– Oczywiście, że nie.

Peter się uśmiecha. Przechyla głowę i poprawia mi włosy.

– Więc idź się przebrać, a potem wczuj się w rolę. Pamiętaj, dlaczego to robisz. To lepsze niż szorowanie podłóg w biurach, i w dodatku da ci dziesięć razy tyle pieniędzy.

– Dziesięć razy? – Wytrzeszczam oczy.

– No, może nie od razu, ale do tego dążymy, Corinne. Masz zadatki na bycie międzynarodową gwiazdą, wierz mi. Podejrzałem cię w obiektywie Daniela, wyglądasz zjawiskowo! Dlatego dziś musisz się przemóc. Po prostu rozluźnij się i myśl o czymś przyjemnym.

Przyjemnym? Przyjemna byłaby świadomość, że otaczają mnie ludzie, którym na mnie zależy. Że ktoś dostrzega we mnie coś więcej niż tylko twarz. Że nie muszę cały czas oglądać się za ramię, a jedyną przyjaciółką nie jest wymyślona w dzieciństwie Carolina.

I właśnie takie myśli towarzyszą mi, gdy przybieram różne pozy, ubrana w koronkowe body i delikatnie tkany szlafrok. Nie jest źle – rada Petera okazała się skuteczna. Gdy wyłączy się myślenie, ta praca staje się czysto fizycznym zajęciem; noga w lewo, noga w prawo, biodra do tyłu, ramię do przodu, patrz w dół, zagryź usta i tak dalej. Łatwizna.

Pierwszy zgrzyt pojawia się, gdy fotograf każe mi zdjąć szlafrok. Mój wzrok od razu odnajduje Petera, który daje mi znak, że wszystko jest w porządku. Ściągam okrycie, a potem znów oddaję się marzeniom o idealnym życiu. Chyba idzie mi nieźle, ponieważ fotograf cały czas krzyczy coś z podekscytowaniem. Prosi Petera, by ten przyniósł mu szklanek wody, a następnie każe mi przybrać pozycję na czworaka. Nie podoba mi się to, ale znów

zmuszam się do zablokowania w głowie tej syreny alarmowej, która zaczyna wyć jak szalona.

– Cudownie, a teraz ścisnij nieco swoje piersi! – Daniel rzuca mi komendę, która brzmi tak, że mam ochotę ścisnąć, ale jego... szyję! I to bardzo, bardzo mocno. – No dalej, musisz uwodzić aparat! Wyobraź sobie, że to twój kochanek.

Fuj.

Zaciskam szczęki i wykonuję polecenie.

– Dobrze, świetnie! Teraz się odwróć i wypnij pośladki!

Co takiego??

Podpieram się pod boki i wbijam w typa pełen pogardy wzrok. Daniel natychmiast wyczuwa zmianę mojego nastroju.

– O co chodzi?

– Czy to sesja do jakiegoś podrzędnego playboya? – wypalam bez oporów.

Mężczyzna opuszcza aparat i otwiera szerzej oczy. Widać, że go zaskoczyłam.

– Podrzędnego playboya? Uważasz, że sesja do tego magazynu jest niegodna twej osoby? – Pytanie jest retoryczne, widzę to. Zauważam też, jak jego policzki nabierają żywszych barw. Chyba nieźle go wkurzyłam... – Do twojej wiadomości: najlepsze modelki zabijają się, by tam zapozować – prychna szyderczo, patrząc mi prosto w oczy. Potem następuje chwila ciszy, podczas której Daniel odkłada aparat i podwija rękawy. – Sądzisz, że fotograf z taką renomą jak ja, ma czas użerać się z dziewczynką, która boi się pokazać kawałka ciała? Otóż nie! Ten, kto dla mnie pozuje, ma być gotowy na wszystko. Modelka to kobieta, która wie, że jej ciało to

narzędzie pracy, i posługuje się nim właśnie w taki sposób. Nie potrzeba mi tu rozhisteryzowanych panienek, wystawiających pazury przy najdrobniejszej prośbie z mojej strony. Więc albo współpracuj jak profesjonalistka, albo żegnam, zarówno ciebie, jak i Petera! – kończy swą wypowiedź, wprowadzając moje serce w drżenie.

O nie, tylko nie to...

Nie mam wiele czasu na decyzję, ale ta wydaje się prosta: nie pozwolę, by przez moje uprzedzenia i złe doświadczenia Peter stracił pracę. I to w momencie, gdy zaryzykował ją, by mi pomóc.

Naszą milczącą walkę na spojrzenia wygrywa on. Odwracam się powoli i przyjmuję pozycję, którą mi nakazał. Znów uciszam swój wewnętrzny głos, który każe mi uciekać z tego miejsca, gdzie pieprz rośnie. A przedtem kopnąć tego fagasa w krocze.

Ignoruję fakt, że Daniel podchodzi coraz bliżej mnie, oraz to, że jego głos staje się niższy, gdy prosi mnie, bym rozchyliła kolana lub wsadziła palec wskazujący do ust i go zassała. Czuję się coraz podłej, ale znoszę to wszystko, by ten facet nie wyrzucił stąd Petera. Bo ja na pewno już tu nie wrócę...

– O tak, idealnie... A teraz pokaż mi tę wyuzdaną stronę osobowości, wiem, że gdzieś tam się kryje, nie walcz z nią... – szepcze mi prawie do ucha.

Zbiera mi się na wymioty. Jeszcze chwila i zrobię coś, czego wszyscy pożałujemy...

– Ułatwimy ci to. Ściągnij ramiączko w taki sposób, aby odsłonić połowę piersi... – mówi, czym mrozi mi krew w żyłach.
– O właśnie tak... – dodaje, po czym łapie za materiał kusego

body i prawie obnaża moją pierś. Prawie, ponieważ w momencie kontaktu jego dłoni z moim ciałem zaciśnięta pięść sama wystrzeliwuje jak z procy, trafiając go prosto w nos. Głowa mężczyzny natychmiast odskakuje do tyłu, a aparat ląduje z trzaskiem na podłodze. Podobnie jak on sam.

Dosłownie sekundę później do pomieszczenia wraca Peter.

– Ta twoja mała kurwa mnie uderzyła! – Daniel od razu wskazuje na mnie ruchem ręki, a potem sprawdza, czy nie leci mu krew. – I zniszczyła mi aparat! Oboje za to odpowiecie!

– Zrobiłaś to? – Peter zatrzymuje na mnie swoje spojrzenie.

Oblewa mnie zimny pot, ponieważ dopiero w tym momencie dociera do mnie, co najlepszego uczyniłam...

– Próbował mnie obmacywać... – Mój głos brzmi słabo, jestem skołowana. Serce tłucze mi się o żebra jak szalone. Wiem, że dobrze zrobiłam, broniąc się przed molestowaniem, ale mam też świadomość, że najwyższą cenę za to zapłaci właśnie Peter.

– Nonsens, to kompletna wariatka! Sama mnie kokietowała i próbowała uwodzić, by dostać tę robotę! A teraz udaje ofiarę, jak te wszystkie głupie baby z hasztagiem #meetoo!

– Corinne cię kokietowała? – Brwi mojego przyjaciela podjeżdżają do linii włosów. Rzuca mi szybkie spojrzenie, po czym wraca nim do Daniela. Widać, że robi szybką ocenę sytuacji, i sądząc po minie, nie podobają mu się wnioski, do których dochodzi. Wznosi oczy ku górze i robi głęboki wdech, a następnie rusza do Daniela i podaje mu dłoń. Ten ją ujmuje, lecz kompletnie nie spodziewa się tego, co następuje później. Zresztą podobnie jak ja.

Z otwartymi ustami patrzę, jak Peter mocnym uderzeniem z czołka posyła fotografa z powrotem na glebę.

– To jedno zdanie cię zdradziło. – Mina Petera to idealny miks pogardy i obrzydzenia. – Corinne nigdy w życiu nie uwodziłaby żadnego mężczyzny.

Po tych słowach spływa na mnie ogromna fala ulgi i szczęścia. Już dawno żaden człowiek tak bardzo u mnie nie zapunktował.

– Dość tego, wylatujesz, złamasię! Nie chcę cię tu więcej widzieć! Dopilnuję też, by żaden z moich kolegów nigdy nie zrobił ci zdjęcia! Jesteś skończony! Tak samo jak ta twoja mała dziwka! – Rozsierzony mężczyzna wypluwa z siebie pełne nienawiści słowa.

Panika na chwilę mnie paraliżuje, ale nie pozwalam jej na dłużej zagnieździć się w moich trzewiach. Włączam wyuczone mechanizmy obronne i wybieram ten, który może okazać się najskuteczniejszy w tym właśnie przypadku.

– Jeśli zniszczysz karierę Peterowi, ja zniszczę cię, popaprany dewiancie – odszczekuję mężczyźnie, starając się brzmieć mocno i pewnie.

– Tak? A niby w jaki sposób? – Mina fotografa wyraża drwinę w najczystszej postaci. – Żaląc się tabletom, że cię molestowałem? – prychna szyderczo i sięga po swój aparat.

W tym czasie podchodzę do Petera i szepczę mu dyskretnie:

– Rób nam zdjęcia. – I kieruję się do Daniela.

– Możesz gadać im co chcesz, i tak nikt ci nie uwierzy – Niczego nie podejrzewający mężczyzna sprawdza, czy jego sprzęt

nie uległ uszkodzeniu, a potem poprawia swoje ubranie. Już zamierza wstawać, gdy zatrzymuje go moja noga.

– Nie zamierzam iść do prasy, z którą jesteś w komitywie – oświadczam, patrząc mu twardo w oczy. Kucam i zrównuję się z nim twarzą.

– Gdziekolwiek byś nie poszła, moja pozycja w tej branży jest ugruntowana. Nie jesteś w stanie mi w żaden sposób zagrozić. – Facet śmieje mi się w twarz. A więc ja także się uśmiecham. Jeszcze nie wie, jak bardzo się myli... – Żadna baba nie zniszczy mojej kariery. Jesteście na to za głupie.

– Wiesz, jakie jeszcze jesteśmy? – mówię to powoli. Przechyliłam głowę w bok i zaczynam sunąć palcem wskazującym po jego bicepsie. – Wredne i wyrachowane. Potrafimy ranić jak nikt inny na świecie.

Daniel nie ma pojęcia, do czego zmierzam. Obserwuje wędrówkę mojego palca po jego skórze.

– Potrafimy być aniołami... – kontynuuję uwodzicielskim głosem, a potem nachyliłam się nad nim i szepczę do ucha: – Ale skrzywdzone i zdradzone przybieramy formę, przed którą uciekałyby sam Mefistofeles.

– Jeśli o mnie chodzi, to się nie boję... – Mężczyzna reaguje na flirt. Przekręca głowę i zbliża do mnie usta. Jego ciekawość rośnie. Tak samo jak interes w spodniach.

Ponownie się uśmiecham. Tym razem wrednie. Z satysfakcją.

– Ale to nie mnie powinieneś się bać... – Wsuwam dłonie w jego włosy i pozwalam blond kosmykom prześlizgiwać się między palcami.

– Jedyne, czego się boję, to że nie dokończysz tego, co właśnie zaczynasz...

Jego oddech przyspiesza, podniecenie wyostrza mu rysy, a dłonie zaczynają coraz śmielej przesuwać się po moim ciele.

Idealny moment na zimny prysznic.

– I żony – wypalam nagle, czym porażam mężczyznę przede mną.

Przez ostatnich kilka lat nauczyłam się, jak działa na żonatyh facetów to słowo. W oka mgnieniu, nawet największy donżuan pokorniej jak mały chłopiec.

– Jeśli w jakikolwiek sposób zagroziś karierze Petera, oświadczę twojej żonie i opowiem jej pewną historyjkę... – Wstaję, otrzępuję się i kontynuuję monolog: – I nie, nie będzie to historia o biednej i molestowanej modelce, ponieważ jak mi się wydaje, słyszała już ich wiele. I skoro nadal jest twoją żoną, znalazła sposób na to, by w nie wierzyła. – Biorę telefon od przyjaciela i na widok fotografii, którą wykonał, uśmiecham się szeroko. Pokazuję ją struchlałemu Danielowi i ciągnę przemowę: – Będzie to historia o naszym ognistym romansie. Ze wszystkimi pikantnymi detalami oraz tym, jak mi się na nią żaliłeś... Możesz mi wierzyć, że fantazji mi nie brakuje.

Prawie robi mi się go żal, gdy błędnie jak ściana.

– Już rozumiesz, że to ja będę tą skrzywdzoną kobietą szukającą zemsty? – Widzę, że nie muszę tłumaczyć nic więcej. Facet doskonale zdaje sobie sprawę, w jakie tarapaty może wpaść, i że piłka jest po mojej stronie. Jedyne, co może zrobić, to... wszystko czego tylko zażądam!

– Pozycja Petera w branży nie jest zagrożona – oświadcza w końcu w odpowiedzi na mój szantaż.

– To nie wystarczy – mówię, zachowując pokerową twarz. – Uważam, że tak wspaniały model zasługuje na jakąś ekstra sesję, w ekstra magazynie, i w dodatku ekstrapłatną.

Mężczyzna zaciska szczękę, ale zgadza się kiwnięciem głowy.

– To nadal nie wszystko – dorzucam, czym jeszcze mocniej go wkurzam. – Nigdy więcej nie zrobisz, nie powiesz, ani nawet nie pomyślisz niczego niewłaściwego w stosunku do modelek, z którymi pracujesz.

– W porządku.

Robię dziubek z ust.

– Trochę trudno mi w to uwierzyć, ale spróbuję – oznajmiam wielkodusznie. – W międzyczasie nie zaszkodzi rozdać tym dziewczynom mój numer telefonu, by w razie czego mogły do mnie napisać...

Peter wybucha gromkim śmiechem, a Daniel wypuszcza z ust pełną wulgarnych inwektyw wiązanekę.

Jestem dumna, że udało mi się z tej całej nieprzyjemnej sytuacji wyciągnąć jakieś pozytywne efekty.

– To ja miałem załatwić ci robotę, a wyszło na to, że to ty zorganizowałaś mi całkiem niezłe zlecenie. – Peter wkłada do ust rogalika maślanego, gdy pół godziny później siedzimy w kawiarni

w centrum. – Przepraszam, że cię na to naraziłem. Byłem pewien, że Daniel Goth jest godnym zaufania profesjonalistą. Nigdy nie słyszałem żadnej plotki, by zachował się niewłaściwie...

– Sam widzisz, że nie mogłeś tego przewidzieć. Poza tym, to nic takiego. Bywałam w gorszych tarapatkach. – Wsypuję cukier do kawy i zaczynam energicznie mieszać.

– Mimo wszystko wyszło fatalnie. Mam gigantyczne wyrzuty sumienia.

– Niepotrzebnie. Najwidoczniej nie jestem skazana na sukces w branży fotomodelingowej – oznajmiam z lekkością, której nie czuję. Tak naprawdę czuję się pokonana. I to nie przez tego gnoja, a po prostu przez życie.

Wszystko byłoby inne, gdybym nie była pusta w środku. Gdyby było coś, cokolwiek, co wywołałoby u mnie przyływ ekscytacji... Jednak ja swój czas wykorzystuję jedynie na próby przetrwania i związania końca z końcem. Nie mam żadnej pasji, rodziny, przyjaciół, celu, ani planów. Moje życie jest jałowe i raczej nie zanosi się na to, by cokolwiek było w stanie to zmienić.

– Nie mogę tak tego zostawić, Corinne. Nie powinnaś mieszkąć z tym ćpunem.

– Dam sobie radę – zapewniam go. – Zawsze daję.

– Tak, ale... – Peter nie kończy myśli, ponieważ przerywa mu dźwięk telefonu. Na wyświetlaczu pojawia się imię kogoś, kogo musi bardzo lubić, ponieważ jego twarz natychmiast się rozpromienia. – Przepraszam na chwilę, to moja przyjaciółka – mówi, i odbiera. – Cześć Batku, dzwoniłem wczoraj wieczorem, ale nie odbierałaś...

Przestaję słuchać, a zaczynam obserwować. Zazdroszczę tej dziewczynie. Nie wiem, kim jest i co robi w życiu, ale samym tym, że istnieje, sprawia radość mężczyźnie, który mi towarzyszy. To musi być wspaniałe uczucie.

Nie pamiętam już, kiedy doszłam do wniosku, że ja urodziłam się chyba tylko po to, by umrzeć. Moje życie zdarzyło się przypadkiem. Nikomu nie jestem potrzebna, nikt na mnie nie czeka, nie robię żadnych ważnych dla świata rzeczy. Oddycham tym samym powietrzem, co lekarze, strażacy czy naukowcy, a nie daję nic w zamian. Zupełnie jak chwast, który tylko przeszkadza i kradnie innym wodę oraz słońce. Nie ma we mnie niczego wartościowego.

Ze smętnych rozważań wyrывa mnie poruszony Peter. Odkłada komórkę na stół i oświadcza, że dziś musi pojechać do jakiejś wioski w Alpach, ponieważ jego przyjaciółka potrzebuje pomocy.

– Trzeba po prostu kopnąć takiego jednego fagasa w ding donga – podsumowuje jednym zdaniem.

– Zrobił jej krzywdę?

– Pocałował inną. Głupi fiut. – Peter prycha z pogardą. – A tak dobrze rokował... Chyba nawet za dobrze. To musiało się tak skończyć.

– Przykro mi.

– To nic. Heidi da sobie radę. To twarda babka – mówi z uznaniem, a potem spogląda mi w oczy. – Taka jak ty.

Coś drga w moim sercu. Spuszczam z zakłopotaniem wzrok na dłoń.

– Prócz tego jednego niemiłego zadania, będzie to całkiem ekscytująca wyprawa. Schwarzzimmer to magiczne miejsce. Malownicze, klimatyczne i praktycznie odcięte od świata.

– Brzmi cudownie.

– A pensjonat, w którym zatrzymała się Heidi, jest... jak drugi dom. Gospodyni prowadzi go, wkładając w tę pracę całe serce. To ona sprawia, że ludzie czują się tam tak dobrze. – Następuje chwila ciszy, podczas której zaczynam sobie to miejsce wyobrażać. – Aż żał patrzeć, jak się przy tym męczy. Ma już swoje lata. W dodatku, z tego, co widziałem, zamiast przybywać, ubywa jej personelu.

– Jak to? – Upijam łyk kawy.

– Gdy byłem tam ostatnim razem, słyszałem, jak jedna z dziewczyn wyznała jej, że jest w ciąży i niebawem odchodzi. Gerda niby jej pogratulowała, jednak widać było też na jej twarzy troskę. W takiej małej wiosce zapewne trudno jej będzie znaleźć zastępstwo. – Peter nagle przerywa i otwiera szerzej oczy. – Corinne, a może...

– Co?

– Że też nie pomyślałem o tym wcześniej! To ty mogłabyś się u niej zatrudnić!

– Co takiego? – Teraz to ja wytrzeszczam oczy. – Przecież ja nie mam zielonego pojęcia o prowadzeniu pensjonatu!

– Nie musisz! Takiego zadania na pewno nie otrzymasz. – Mój towarzysz zaczyna się ze mnie śmiać. – Gerda traktuje „Der Strahl” jak swoje dziecko. Na początku z pewnością byś sprzątała pokoje lub coś w tym stylu.

– Peter, fajnie, że o mnie pomyślałeś, ale przede wszystkim nikt mnie tam nie zapraszał.

– Ja cię zapraszam. Na miejscu porozmawiamy z właścicielką i zobaczymy, czy coś z tego wyjdzie. Jeżeli ci się nie spodoba, po prostu wrócimy. Jednak moim zdaniem, przydałby ci się odpoczynek od miasta.

Wskazuje ręką szare i zatłoczone ulice. I tu ma świętą rację. To miasto mnie przytłacza.

Poddaję się ciekawości, jak mogłoby się zmienić moje życie, gdybym w końcu stąd wyjechała. Malownicza wioska, z daleka od cywilizacji, brzmi naprawdę dobrze. Podobnie jak względny spokój, który chyba najbardziej mnie kusi.

– Dobrze – decyduję pod wpływem chwili. – Pojadę z tobą i zobaczymy, czy coś z tego wyjdzie.